ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 37. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 20 październ. 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



TATRY

Do art. Parki Narodowe.

SZKOŁA SPECJALNA W PRUSZKOWIE.

Coraz szerzej i głębiej ugruntowuje się świadomość wśród sfer pedagogicznych i społecznych o konieczności doboru dzieci na terenie szkoły, według ich naturalnych uzdolnień. Dotyczy ten postulat szczególnie dzieci, dotkniętych defektem [1]) inteligencji lub charakteru, które wymagają odmiennego sposobu traktowania i nastawienia psychicznego [2]) nauczycieli, indywidualizacji [3]) metod [4]) i zabiegów, ujętych naukowo, a znanych pod nazwą *pedagogiki* [5]) *leczniczej*, opartej na znajomości psychologji [6]), psychopatologji [7]) i biologji [8]) dziecka.



Obrady w bursie im. J. Joteyko przy szkole sp. w Pruszkowie.

Selekcja[9]) ta okazała się zbawienną w realizacji celów „szkoły na miarę", w której, według słów Konarskiego [10]), każdy czerpie z symbolicznej [11]) studni wiedzy i wychowawczych instytucyj „według swej pojemności".

Szkołę dla dzieci normalnych [12]) z jednej strony odciąża się od elementu [13]), który nie może spełnić warunków, wymaganych programem, i nie znajdując ujścia dla swych zainteresowań, demoralizująco działa na innych, a dzieciom upośledzonym [14]), dzięki stworzeniu dla nich odpowiednich warunków wychowawczych, daje się możność kultywowania ich specyficznych [15]) uzdolnień, budząc w nich jednocześnie zamiłowanie do pracy i podnosząc ich poczuci godności, poniżanej w środowisku, stawiającem wymagania przekraczające miarę ich sił.

To też nauczycielstwo domaga się wszędzie, gdzie warunki sprzyjają, wyłączenia dzieci upośledzonych, — tworzenia klas specjalnych, gdzieby dzieci takie mogły wychowywać się racjonalnie i z korzyścią pod względem społecznym.

Po zorganizowaniu szkół specjalnych w większych środowiskach, stopniowo realizują władze szkolne tego typu szkoły w miastach prowincjonalnych.

W roku szkolnym 1925/26 powstały klasy specjalne dla dzieci umysłowo upośledzonych w t. zw. „mieście dzieci" — w Pruszkowie. Już



Ćwiczenia zmysłów (loteryjki) w szkole sp. w Pruszkowie.

---

1) Defekt = brak, wada.
2) Psychiczny = duchowy.
3) Indywidualizacja = uwzględnianie charakteru jednostki.
4) Metoda = sposób postępowania.
5) Pedagogika = nauka o wychowaniu młodego pokolenia.
6) Psychologja = nauka o duszy.
7) Psychopatologja = nauka o zaburzeniach nerwowych i inteligencji.
8) Biologja = nauka o życiu.
9) Selekcja = dobór.
10) Konarski = reformator szkolnictwa, ur. 1700 r., um. 1773 r.
11) Symboliczny = uzmysławiający pojęcie oderwane za pomocą znaków.
12) Normalne dzieci = dziecko zwykłe, takie, jakie powinno być.
13) Element = część składowa jakiejś rzeczy.
14) Dziecko upośledzone = z brakami umysłowemi i charakteru.
15) Specyficzny = właściwy czemu, wyłączny.

w 2 lata później (1927/28) zorganizowała Rada Opiekuńcza m. Pruszkowa internat dla dzieci umysłowo upośledzonych. W b. r. szkolnym władze szkolne wydzieliły pewne klasy, tworząc samodzielną, 4-klasową, publiczną szkołę specjalną, o 4 siłach nauczycielskich, z pełnemi kwalifikacjami.

Niektóre organizacje społeczne, jak Zw. Harcerski i Strzelecki, zainteresowały się żywo szkołą i internatem i współdziałają z personelem nauczycielskim, oraz wychowawczym, wnosząc w pewnych okresach wiele cennych walorów wychowawczych, dających dzieciom chwile radości i pogody.

Ostatnio zorganizowano w Pruszkowie „Towarzystwo Opieki nad dzieckiem upośledzonem“ o szerokim zakresie działania. Prezesem T-wa jest właścicielka Pruszkowa, p. Potulicka, a nader czynnym wiceprezesem p. płk. Rawicz. Na szczególną wzmiankę zasługuje ofiarność rodaczki naszej, Poli Negri, która przysłała na cele T-wa 3.000 franków.

BIJE SIĘ DZIECI!...

(Dokończenie).

Kara fizyczna: bicie, jako bezpośrednio skuteczna interwencja osób dorosłych w „szkodliwych“ poczynaniach, dążeniach dziecka, występuje w kilku odmianach.

Zależnie od stopnia, rodzaju, formy, jakoby „złego“ postępku dziecka, matka bije b. mocno i długo; niekiedy poprzestaje na próbie uderzenia, straszeniu, popychaniu, targaniu, potrząsaniu i t. d. i t. d.

Najbardziej brutalny, a dla dziecka dotkliwy jest sposób mściwego, złośliwego bicia.

Za większą szkodę materjalną w domu (kosztowny przedmiot stłukł, uszkodził, zaplamił i t. p.) chwyta matka dziecko (które często rozpaczliwie się broni), a wtedy spadają na ciało dziecka regularne razy (mocno, dotkliwie: słabe ciało dziecka, a gruba, rozwinięta ręka dorosłego (porównaj!). Bijemy b. mocno (używając często największego wysiłku fizycznego) po plecach (niekiedy pięścią), rękach, doraźnie po twarzy.

Istnieje kara fizyczna w stopniu łagodniejszym, mniej brutalnym, ostrym.

Szarpiemy dziecko za odzież, potrząsamy, popychamy: „chodźże“ (dziecko nie nadąża za starszym); mimo oporu (przeciwstawia się i płacze) ciągniemy za rękę (często unosimy: bolesne!!!); chwytamy dziecko i nagłym ruchem przenosimy na inne miejsce i t. p.

Takie i temu podobne korzystanie z siły fizycznej jest łagodniejsze, mniej dotkliwe, mało mściwe. Dziecko ponosi je za czyny mniej „karygodne“, „złe“ i t. d., niż w poprzednim wypadku.

Trzeci sposób, zdradliwy, podstępny, cichy, którego dzieci b. nie lubią!

Więc w złości miast prowadzić łagodnie dziecko za rękę, ściskamy mocno, pociągając za sobą; wyrywamy gwałtownie przedmiot z ręki, ściskając; przytrzymujemy, nie pozwalając dziecku się poruszać; gwałtem wciskamy dziecku przedmiot do ręki: „Trzymaj!“. Cichaczem, niewidzialnie dla osoby drugiej (czuje jedynie osoba dorosła i dziecko), ściskamy, niedbale przenosimy, chwytamy niestarannie, mocno sadzamy i t. p., o których zresztą matki wiedzą najlepiej.

Czwartym sposobem wywierania przemocy fizycznej, jest nieświadome sprawianie bólu: przy zabawie, wskutek nieumiejętnego schwytania dziecka i t. d., które tu nie może być rozpatrywane, jako nienaumyślne.

Oto wszystkie sposoby, rodzaje używania siły w wychowaniu, popularnie zwane biciem dziecka.

* * *

Dzieci bijemy, jakoby za „złe“ czyny. Czyny te zaś niekiedy są tylko zabawą, dążeniem, inicjatywą, chęcią poznania i t. d.

Ale dorosłym, którzy już przeszli do okresu innych zainteresowań i oddalili się od sposobu

myślenia dziecka, trudno jest zrozumieć, co w tych czynach naprawdę jest karygodnego, a to wynika tylko z zainteresowań i chęci poznania.

Więc biją dziecko.

Rozumnem i koniecznem jest przestrzeganie, gdy dziecko nie może przewidzieć następstw.

Słuszna jest nasza interwencja, gdy dziecko szkodzi sobie, lub innym. Nie możemy na to pozwolić — rzecz prosta.

W iluż jednak wypadkach wystarczyłaby spokojna perswazja w życzliwej formie, spokojny, stanowczy zakaz, czy nakaz?

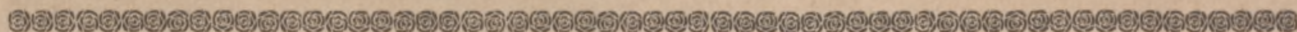
Widocznie jednak łatwiej jest i prościej uderzyć, niż zdobyć się na spokój, stanowczość i konsekwencję.

A jednak przyjrzyjmy się, jak to wygląda: dziecko szarpie się, wyrywa, płacze, wykonywa ruch, jakby się chciało osłonić i uderzyć bijącego. A wyraz twarzy dziecka?

Ten wyraz twarzy, te migawkowe ruchy — to krzyk bezsilności, to kiełkująca *zapowiedź zemsty, odwetu za brutalność i przemoc:* „odpłacę, jak dorosnę".

Oto — co może być najgorszego.

Pedagog.



Z. P.

PARKI NARODOWE.



Z Karpat: Wodospad.

Ludzie współcześni, wyczerpani okropnościami wojny i ciężką, powojenną walką o byt, zrozumieli, że chore nerwy i duszę wyleczyć może jedynie cudowna lekarka — natura.

Miasto, jego rozrywki i zabawy, mogą nas tylko chwilowo rozerwać, oszołomić, ale po jakimś czasie, zamiast wypoczynku, w rezultacie pozostawią zmęczenie i wyczerpanie. Ziemia uprawna w kulturze więcej karmi nasze ciało, ale im bardziej jest ona dziką i pierwotną, potężniejszy wywiera wpływ na duszę ludzką. W trosce o taką pierwotną naturę postarał się człowiek, aby pozostały na ziemi różne, prześliczne, a pozornie bezużyteczne zakątki i prawnie zabezpieczył je od zmian i niepożądanych ulepszeń. Poza koniecznemi udogodnieniami pozostawiono je po wieki takiemi, jakiemi od wieków były. Są to tak zwane parki narodowe, albo parki natury. Najstarszy i największy na świecie jest w Ameryce, nad dopływem Missuri, pośrodku gór Skalistych, prócz niego posiada Ameryka wiele innych. Za jej przykładem wszystkie kulturalne narody postarały się o ochronę najpiękniejszych zakątków swego kraju. W Polsce mamy takie parki narodowe w puszczy Białowieskiej i w Tatrach. Po gorączkowem, męczącem życiu w mieście, tysiące ludzi odzyskuje w takich parkach zdrowie duszy i ciała, nabiera sił i energji. W. Szafer

w książce swej o parku narodowym w Ameryce (Jellowstone) przytacza słowa E. Mills'a, autora wielu książek o zabytkach przyrody. „Australję skolonizowano za pomocą zesłańców, tymi zaś rządzili urzędnicy gorsi, niż owi zbrodniarze. Lecz przyroda — jak zwykle, czarodziejską różdżką — dziwne sprawiła przemiany. Naród australijski wliczony jest dziś między najszlachetniejsze narody ziemi".

Tak wielki wpływ na charakter przypisują obcowaniu człowieka z przyrodą.

Ale nie wszyscy żyją w tak szczęśliwych warunkach, aby mogli pozwolić sobie na dłuższy, lub krótszy pobyt w jednym z takich parków narodowych. Niestety, większość ich nawet nie zobaczy.

Mimo to my, mieszkańcy miast, zrozumiawszy, jak potężny jest wpływ przyrody, dążyć powinniśmy do jak najczęstszego obcowania z nią. W Anglji i Ameryce ludzie, którzy cały tydzień pracują wśród niezdrowych murów kamienic, choć co tydzień lub dwa porzucają je, aby pół dnia soboty i niedzielę spędzić zdala od miejskiego zgiełku i kurzu. Niestety, jesień i zima nie sprzyjają u nas takim wycieczkom, ale i w tych



Z Tatr: Pięć stawów polskich.

porach roku bywają dnie nieraz bardzo piękne, a spacer za miastem, lub choćby w parku, przysporzy nam napewno więcej zdrowia i radości, niż najciekawszy dramat w kinie.

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA — POWIEŚĆ

POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

Teraz trzeba było tylko pracować, nie zaczynać nic już nowego, bo czasu pozostawało niewiele. Wszystko jest drogie. Boże, jakże wszystko kosztuje!

Z pośród wszystkich klijentek, wielkich dam, Hiszpanek i Włoszek, Francuzek i Angielek, zapewne Ramona była najbardziej kapryśna. Jeżeli kupiła suknię, można było być pewnym, że na drugi dzień odesłała ją do poprawki, a na trzeci zamieniła ją na inną. Jeżeli kupiła kilka par paryskich pończoch z ostrokrzewem, odsyłała je po tygodniu dziurawe, tłumacząc z obłudną miną, że sprzedano jej towar zleżały. Zostawiała dużo pieniędzy, to prawda, więc ostatecznie można było znosić jej kaprysy, ale Iwonna i Assuncion traciły głowę, kiedy jej chrapliwy, twardy, jakby przepity głosik zadźwięczał u wyloty windy, a panny z magazynu biegały, jak opętane.

— Różowe pantofelki, — powiedziała Ramona — a jeżeli nie macie, to was i wszystkie wasze suknie poślę do djabła.

Potem prosiła o szklaneczkę porta, bo jej zasychało w gardle, a kiedy ją któraś z panien ukłuła szpilką przy przymierzaniu, uderzyła ją w twarz.

— Jutro odjeżdżamy, więc wszystko musi być gotowe, choćbyście miały na łbach stawać!

Naturalnie, nie można było nawet mieć do niej pretensji. Ramona była kreolką, to, co się w Argentynie nazywa „criollo" i wymawia „kriożo" w zepsutej hiszpańszczyźnie, jaką potocznie posługuje się Ameryka Południowa. Mieszana, wszystkim obca krew płynęła w jej żyłach, pogardzana krew tubylców, obok nieznacznej domieszki krwi europejskiej.

— Jutro odpływamy, a chciałabym jeszcze kupić coś dla mojego męża. Coś niedrogiego,

oczywiście, niech on na mnie wydaje pieniądze, ja na niego nie mam zamiaru. Ale tak, chciałabym, żeby wiedział, że ja też o nim myślę.

Assuncion zarżała: oto jest moment sprzedania książki. Triumfalnie, ale z wielką pieczołowitością, wyniosła szeroki tom w obydwu rękach i rozłożyła przed Ramoną na małym stoliku. Nie wiedziała jeszcze, co jej powie: no tak, możnaby było powiedzieć, że to testament ostatniego króla Azteków z Peru, zresztą to się zobaczy. Tymczasem huknęła na Lili:

— Podłóż no coś, żeby się nie zabrudziła!

Zatrwożona Lili skoczyła i nakryła stolik aksamitną płachtą czerwoną: nigdy jeszcze tak pięknie nie wyglądała książka. Naprawdę po królewsku. Bez żartów. Ramona popatrzała na nią zdaleka, pyszna sztuka aksamitu, dziwne znaki na skórzanej okładce onieśmielały ją i zadziwiały.

— Co to jest? — potem się roześmiała — bo mój mąż lubi tylko czytać biblję, a od czasu, jak tamtą wyrzuciłam mu w morze, jest niepocieszony.

— To właśnie jest biblja — powiedziała prędko Assuncion — ale nie chciałam pani tego odrazu mówić, nie wiedziałam, że pani będzie potrzebna. Wspaniała książka, płakałam, czytając ją. Cóż za styl cudowny. Jak pani widzi, jest cała ręcznie napisana przez pewnego świętego człowieka. Znałam go, miał brodę do pasa, i był tak chudy, że kości sterczały mu przez brunatną suknię.

— Dios! — wykrzyknęła Ramona, żegnając się pobożnie. Potem delikatnie dotknęła paluszkiem książki, odginając kartkę.

— To historja Jozuego — powiedziała poważnie, — czytałam ją wiele razy z mężem. Poznaję stronicę.

Assuncion skinęła głową z aprobatą.

— To... nie bardzo drogie?

— Niezwykle tanie — powiedziała Iwonna, która zawsze w takich razach śpieszyła przyjaciółce z pomocą — niezwykle tanie, w porównaniu do wartości; niech pani patrzy, co tu materjału. Wystarczy czytania na dwa miesiące conajmniej. A co za okładka! Siedmiu ludzi pracowało nad nią przez rok i osiemnaście dni, żeby się nie wstydzić przed świętym człowiekiem.

Ramona wiedziała już, że tę właśnie rzecz kupi, i że nawet nie będzie się targować, bo któż się targuje o rzeczy święte? Wprawdzie Ramona gorliwą była katoliczką, ale kontakt z oświeconą Europą nauczył ją tolerancji... Zapłaciła też za książkę Sebastjana dwa razy tyle, ile płaciła zwykle za najdroższą, paryską suknię i jeszcze nawet podziękowała Assuncion, że taką dobrą dała jej radę. Dla panów tak trudno jest coś kupować. Czyż miała przynieść mężowi na brzeg skorupę pancernika, który w wydłużonym pysku trzyma własny, kościsty ogon i nigdy nie może go połknąć, bojąc się udławić?

— Uważasz, — powiedziała po jej wyjściu Assunsion — cieszę się, że oszukałam tę djablicę i jej męża heretyka. Czytać biblję! Co za ohyda!

Iwona skinęła tylko głową, bo miała pełne usta szpilek i bała się którąś połknąć. Jej to napewno nie szkodziło, może sobie Assuncion bawić się, jak jej się podoba. Mała też szkoda klijentki, która odjeżdża na dalekie morza i zapewne nigdy nie stąpnie nogą na Floridę.

Z zakurzonego, zadymionego portu, z pośród olbrzymich domów, jak z pośród gór lodowych, odpływał nazajutrz handlowy statek. Liny grube, jak ramiona, któremi tęsknie trzymał się pali brzegowych, odplątane, jedna za drugą pluskały w czerwonawą wodę La Platy. James Hall stał na mostku kapitańskim i osobiście kierował tym odjazdem.

Potem zaczęły się dni na oceanie, dni szerokie, burzliwe i pieniste. Codzień nadbiegał wiatr i biegł, zdawałoby się, razem z wodą, by razem z falą uderzyć. Okręt trząsł się od ruchu maszyn, a to równomierne, choć nie monotonne drżenie, tęn przeciągły, wewnętrzny rytm upodabniały go do zwierzęcia. Gorąca, własna krew pulsowała w tym statku, który parł naprzód, oddychając. Jego pewność siebie i wyniosła duma trzymała go i prostowała wśród bezmiarów płynnego żywiołu, któremu zaledwie nieznacznie udało się nim kołysać.

James lubił być na morzu i lubił mechanikę statku. Rozliczać kierunek wśród prądów, za pomocą cyfr bić się z wodą, czuć pod ręką dębowy gryf sterniczego koła, a rano, zaledwie mętne światło świtania poleje się, jak gorąca lawa, po zastygłem, butelkowem szkle trwających fal, kontrolować palaczy i majtków, którzy zmywają pokłady — to było jego najmilsze istnienie, jego najmilszy stan, jego życie.

(D. c. n.).

SALOMEA KISIELEWSKA.

O KOCIE PUSZKU.

(Ciąg dalszy).

PIERWSZA CHOROBA.

Wyrwawszy się z pod opieki i kontroli matczynej, Puszek, jak każde nierozumne i niepohamowane dziecko, zaczął się straszliwie objadać. Rzucał się na wszelkie jadło, jak wilk, a na widok mięsa wysuwał pazury, błyszczał okiem i wrzeszczał, jak tygrys. Mięsa, naturalnie, nie dostawał, ale i tak się przejadł.

Miłe złego początki, lecz koniec żałosny. Żałosny też naprawdę był widok chorego kociątka. Nie mogłam patrzeć na te jego cierpienia i wzięłam się do leczenia go. Więc przedewszystkiem kompresik rozgrzewający pod ceratką na brzuszek. Puszek wyrywa się i wrzeszczy. Z trudem, ale go zawinęłam. Za chwilę jednak Puszek tyłem wysuwa się z kompresu i umyka, gdzie pieprz rośnie.

Musiałam poprzestać na ugotowaniu kleiku, i to pomogło.

Puszek został uratowany.

JAK PUSZEK RÓSŁ I MĘŻNIAŁ?

Z kanapy Puszek przewędrował ze swoim kożuchem na mały, pleciony fotelik Cesia — do kuchni. Zrozumiał tam w bardzo prędkim czasie wiele pożytecznych rzeczy. Zrozumiał, naprzykład, że kiedy służąca uśnie po pracowitym dniu, bynajmniej nie należy jej budzić szwendaniem się po kuchni, tu i tam, czy to do smakowitego kubła ze śmieciami, czy to do miski ze zmywakami, czy do skrzyni z węglem. Wiedział, że trzeba cierpliwie czekać hasła do wstania, że można tylko wysunąć nosek w stronę jej łóżka.

Po śniadaniu Puszek sadowił się na dużej plamie słonecznej, która od połowy marca zjawiała się na podłodze w naszej sypialni. W tem rozkosznem ciepełku coś się — widać — naszemu Puszkowi przypominało, bo zaczynał pracowicie myć, lizać, czyścić swoje, porządnie już po wszystkich śmieciach wybrudzone, futerko.

To pierwsze samodzielne mycie pozostawiało, tak samo zresztą, jak i u Cesia, wiele do życzenia, i raz na tydzień, na niedzielę, urządzaliśmy mu kąpiel. Myliśmy go na miednicy w ciepłych mydlinach. Puszek dziczał wtedy, dygotał całem ciałem, drapał i szarpał się. Ulizany, ociekający wodą, dziwnie chudy, wyglądał doprawdy strasznie.

Po pierwszej kąpieli był tak oszalały, że uciekł nam z ręcznika i kożucha, prosto za skrzynię z węglem. Wyglądał potem, jak sam Lucyfer.

Z czasem, chociaż wody nie polubił nigdy, siadywał już spokojnie w kożuchu, ucinał sobie drzemkę i chociaż nieco zbyt długo, ale wyglądał potem pięknie i puszyście.

Po owem, obrzędowem, a powierzchownem lizaniu się, Puszek zaczynał na swojej plamie słonecznej przedziwne harce: kładł się na grzbiecie, tarzał się, przeciągał tam i zpowrotem i nakrzyż, wyginał w pałąk, chwytał łapkami jakieś cienie i pyłki, a wszystko to wykonywał tak elegancko, wytwornie i harmonijnie, jakgdyby był kończył specjalne kursa rytmiki i plastyki.

Zasypiał wreszcie na tejże plamie słonecznej.

OBIAD PUSZKA.

Ale gdy tylko w kuchni zabrzęczały talerze w pewien, specjalny sposób Puszek zrywał się na równe nogi. Pędem biegł do stołowego pokoju i, jak kot dobrze wychowany, sadowił się na krzesełku.

Obiad ciągle jeszcze jarski, bez mięsa, składał się z zupy, ziemniaków, jarzyn i leguminy. Wszystko to było sporządzone wcale smacznie, tylko że jadało się w sposób nieco niewygodny, a już w kocim rodzaju zupełnie niepraktykowany. Puszek mianowicie stał tylnemi łapkami na krześle, przednie opierał o stół i jadł z talerza, który stał na stole. Podczas zaciekłego chłeptania, śmiesznie podrygiwał i przestępował z łapki na łapkę. (Ci ludzie miewają jednak nieszczególne pomysły).

Chociaż spożywany w tak niewygodnej, bo w nawpół ludzkiej, pozycji, obiad smakował jednak znakomicie.

Tylko to mięso! Ten aromatyczny półmisek! Nie uciekało, a było jednak niedościgłe, jak gwiazda na niebie.

Raz, coprawda, Puszek nie wytrzymał i wskoczył po kociemu wszystkiemi czterema łapami i to prawie że do półmiska, raz porwał nawet kawałek kiełbasy...

Wierzajcie mi, że to się dobrze nie skończyło.

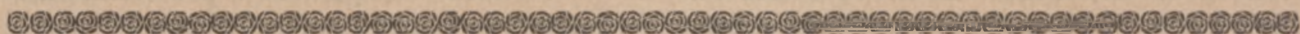
Oprócz mięsa, inny jeszcze specjał nie dawał spokoju Puszkowi — była to ociekająca tłustością ścierka od zmywania talerzy. Czasami udawało mu się ją upolować. Biegł wtedy z tą swoją uprganioną zdobyczą w pyszczku, wlokąc resztę po podłodze za sobą, prosto pod szafę i długo rozlegało się stamtąd to ssanie i mlaskanie wraz z rozkosznem mruczeniem, to przeciągłe wycie i plucie, gdy usiłowaliśmy ów skarb mu odebrać.

GRY I ZABAWY PUSZKA.

Po obowiązkowej poobiedniej drzemce Puszek zazwyczaj używał sportu lekkoatletycznego. Jak oszalały pędził wówczas przez wszystkie pokoje, ślizgając się od czasu do czasu na pazurach, jak ulicznik po zamarzniętym rynsztoku. Po drodze wskakiwał stale na kanapę, a jeżeli byli goście, to czasem nawet im na głowy lub ramiona. Przy gościach przebierał wogóle miarę i, jak pewien „swawolny Dyzio“, drapał ich pod stołem po nogach, a potem rozbawiony, w susach sadził przez pokoje. Wszelkie rękawiczki, woalki i inną konfekcję, napotkaną w miejscach, dlań dostępnych, rozrywał momentalnie na strzępy.

Ale i na niego przyszła wreszcie, jak się to mówi, kreska, gdy pewnego dnia złożyli nam wizytę państwo M., ze swoim dużym, hałaśliwym psem, szpicem.

(D. c. n.).



M. GAD.

NAJŚMIELSZY Z ŻEGLARZY.

Imię Alain Gerbault'a znane jest już dzisiaj całemu światu. Gdzie nie zaniosła go sława i rozgłos, dopłynęło ono samo na wątłej łódce.

Sam przez Atlantyk!... Sam naokoło świata!... 60.000 km. na małym, jednomasztowym kutrze! 5 lat na morzu!...

Pierwotnie Gerbault (jak opowiada w swych ciekawych pamiętnikach) zamierzał wyruszyć w towarzystwie dwóch przyjaciół, z którymi, jako lotnik w czasie wojny, związał się silnym węzłem przyjaźni. Ale obaj towarzysze zginęli — pozostał sam. Ze smutkiem powrócił do Dinard do Bretanji, gdzie ongiś, jako dziecko, wsłuchiwał się w opowieści o najgroźniejszych piratach i gdzie sam marzył o przeprawie przez Atlantyk, gdy nieraz na całe tygodnie wypływał na połów ryb, z dzielnymi bretańskimi rybakami. Dawne zamiary znowu ożyły, zwłaszcza że po stracie matki, życie stało mu się bardzo ciężkie. Postanowił tedy popłynąć sam.

Poszukiwanie za odpowiednim yachtem trwało bardzo długo. Wreszcie w jednym z portów znalazł jednomasztowiec, kuter „Firechest“ [1]), ledwie 11 m. długi i niespełna 3 m. szeroki. Ale był silny, zwięzły i odrazu wzbudził zaufanie żeglarza. Odtąd miała ich połączyć najserdeczniejsza przyjaźń.

Należało gromadzić zapasy. Oto jak wyglądała śpiżarnia, mająca wystarczyć na 4.500 km. drogi:

300 litrów wody słodkiej, 40 kg. wołowiny solonej, 80 kg. sucharów morskich, 15 kg. masła, 24 słoje konfitur, 30 kg. ziemniaków.

Z trzech kajut jedna została przeznaczona na sypialnię, z drugiej urządził sobie Alain „salonik“ i czytelnię, trzecia zaś służyła jako kambuz. Tutaj królowały „primusy“, zawieszone na kazdanach, utrzymujących je w położeniu rów-

[1]) „Fajrczest“ — ogniowa pierś.

nowagi. Gerbault wysłał kartkę do znajomych: 4.500 km., strzałka na zachód, i nic więcej, poczem dnia 6 czerwca 1924 r. odpłynął.

Życie uśmiechnęło się do niego, gdy wydostał się na pełny Atlantyk. Głębia 6.000 m., niebo nad głową i bezmiar dali. Pisze, że wcale nie czuł się samotny. Tryb jego życia ustalił się niezmiennie: oto wstawał o godzinie 5-ej rano i przyrządzał sobie śniadanie, składające się z mięsa, sucharów i ziemniaków, gotowanych w wodzie morskiej (co im pono nadawało specjalny smak). Następnie siadał do steru i trwał przy nim aż do wieczora, o ile w międzyczasie nie trzeba było zszywać ustawicznie drących się żagli. Na noc „refował" żagle i schodził do kajuty. I podczas gdy statek kołysał się wśród bezmiaru nocy i wód, Gerbault zasypiał snem spokojniejszym, niż niejeden z nas w cichym domu. Żegluga z początku łatwa, w miarę posuwania się na północ, stawała się coraz uciążliwsza. Wszedł w strefę wiatrów i burz. Pod zwrotnikiem nawiedziły go ciężkie upały. Był to moment naprawdę krytyczny. Bowiem 2.500 mil drogi do Nowego Jorku, gdy spostrzegł, że słodka woda, której miał spory zapas, zepsuła się. Także soloną wołowinę — jedyny zapas mięsa — należało zrzucić z pokładu, jako pożywienie stosowniejsze raczej dla ryb. Nieprędzej jak za miesiąc mógł się spodziewać deszczu, a tymczasem ledwie pół szklanki wody mógł wypijać na dobę.

Ale oto nagle, niespodziewanie, burza przyniosła czarne chmury. Deszcz! deszcz!

Oszalały z radości, zdołał złapać trochę słodkiej wody. Pojawiły się latające ryby, słynne wśród marynarzy z doskonałego mięsa. Upolował też kilka „dorad" za pomocą harpuna. Ale zarazem nastały burze bez deszczów, tak ciężkie, że „Firechest" dokazywał cudów, by wydobyć się na 10-metrowe fale. Przytem żagle darły się ciągle i trzeba było całe dnie trawić na zszywanie ich. Upały zaś tak były ciężkie, że mózg zdawał się płonąć. Zupełny brak wody, przy ciągłem wdechiwaniu słonego powietrza, przyprawił Gerbault'a o straszliwy ból gardła. Trzy doby nieprzytomny przeleżał w swej koji, zdawszy losy na „towarzysza". Fale tymczasem dostały się pod pokład i zalały zapasy. Do Nowego Jorku zaś pozostawało ciągle 1.500 km...

I oto zjawia się pokusa: zawinąć do Bermudów, odległych tylko o 300 km... i wyrzec się śmiałego planu pierwotnego, który nakazywał drogę do Nowego Jorku odbyć bez lądowania.

Ale był to tylko jeden moment słabości. Gerbault pisze, że myśl ta w tej samej chwili stała mu się wstrętna. Półprzytomny z głodu i pragnienia, wstał w nocy i spuchniętemi, krwawiącemi rękami zabrał się do roboty. Najpierw naprawił primus, który już od kilku dni nie działał. Następnie zgotował sobie jedzenie i zabrał się do naprawy poszarpanych żagli. Odczytał położenie statku i obrał znów śmiały kierunek wprost na północ. Czekało go jeszcze 20 dni burzy. Dnia 28 sierpnia spotyka okręt i teraz już wszystko zapowiada mu bliskość lądu: motyle, kolor wody, obecność delfinów. Dziecko z nad zatoki Saint Malo ziściło swoje marzenia...



Droga, jaką odbył Gerbault.

W Nowym Jorku zgotowano mu wspaniałą owację, ale Gerbault nie jest żądny sławy i zaszczytów. Po krótkim pobycie, rusza w dalszą drogę: naokoło świata.

Następnemi etapami są: Bermudy, Panama, wyspy Galapagos. Skok do Archipelagu, wysp Gambier, do wysp Markiz i Tahiti. Zatrzymawszy się tu chwilę, zwrócił swe żagle ku Reunion i 8 miesięcy przepędził na wyspach Zielonego Przylądka.

W Hawrze powitano go owacyjnie i rozpoczęły się dla Gerbault'a ciężkie dni: dziennikarze oblęgali dniem i nocą, trzeba było bywać na rautach i wieczorach, wydawanych na jego cześć. Nie, stanowczo mu się to nie podobało!

Ostatnio doszły wieści, że znowu wypłynął na morze ze swym wiernym towarzyszem, milczącym „Firechestem"...

W. POG.

RADY PRAKTYCZNE

Plamy ze stearyny, wosku, parafiny i t. p. usunąć można z łatwością, zwłaszcza z ciemnych materjałów, trzymając splamiony materjał niedaleko otwartych drzwiczek pieca w promieniach płonącego ogniska. Stearyna, wosk, czy parafina, wyparują i znikną zupełnie trzeba tylko uważać, aby materjału nie przytleć. Z grubszych materjałów można też plamy ze świecy usunąć przez zeskrobanie, pozostałe resztki zetrzyć przy pomocy benzyny. Sposób postępowania z benzyną omówimy później.

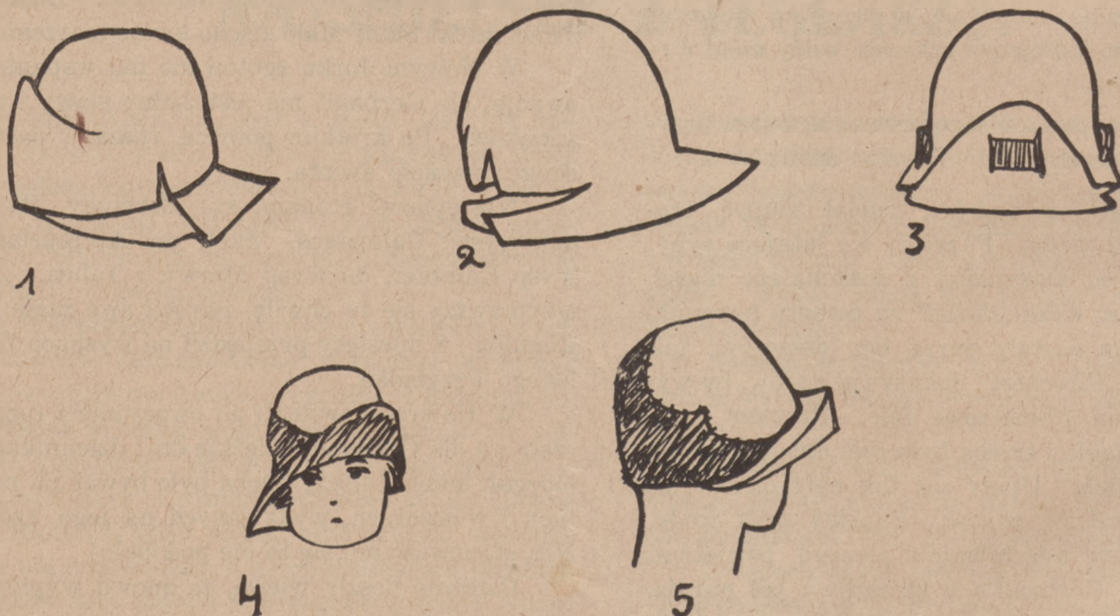
Plamy z lakieru usuwa się najlepiej w następujący sposób: Przedewszystkiem trzeba poczekać aż lakier zupełnie wyschnie, aby czyszcząc plamy nie rozmazać, następnie należy na sucho ile się da lakieru zeskrobać pozostałą resztę zaś, usuwać wycierając gałgankiem umoczonym w czystej terpentynie. O ileby po terpentynie pozostały jakieś ślady należy je usunąć przy pomocy benzyny.

Najłatwiejszy sposób usuwania plam tłustych. Plamy tłuste, zwłaszcza zupełnie świeże, usunąć można z każdego materjału, nawet z najcieńszego jedwabiu, przez proste pocieranie splamionego miejsca cienką bibułką. Bibułka, rozgrzana niec oprzez tarcie, wchłania w siebie cały tłuszcz i plama znika bez śladu.

Plamy ze smarów wywabia się doskonale za pomocą świeżego masła.

Odnawianie i przeróbka kapeluszy filcowych.

Nie trzeba się nigdy pozbywać niemodnych filcowych kapeluszy, bo mogą być jeszcze użyte. Kapelusz z jasnego filcu da się użyć pod warunkiem, że nie jest zbyt zbrukany. Małe plamy dają się łatwo usuwać przy pomocy benzyny. Czyści się je, wycierając gałgankiem, umoczonym w benzynie. Jasne kapelusze filcowe, a zwłaszcza białe, czyści się również bardzo dobrze przy pomocy białego papieru szklanego, tego środka nie można jednak nadużywać, bo wkońcu powstaną dziury w filcu. Czarne kapelusze filcowe czyści się bardzo dobrze naftą, która nadaje im świeżość i połysk pierwotny.



1. Kapelusz z zakładkami, 2 z nacięciami, 3) pilotka, 4 i 5 kapelusze zrobione z dwóch starych.

Nie trzeba się obawiać przykrej woni, bo ta się bardzo szybko ulatnia. Odczyszczony należycie kapelusz trzeba przymierzyć, aby się przekonać, czy jest jeszcze modny i jaki ma fason. O ile np. główka okaże się za wysoka, lub za szeroka, nic łatwiejszego, jak ją zniżyć, lub zwęzić. Uskutecznia się to albo przez zrobienie zakładki na tylnej części główki, lub po bokach, jak to rysunek objaśnia, albo przez nacięcie główki, również według rysunku. Zakładkę na kapeluszu trzeba szyć od wewnątrz, aby ściegi były całkiem niewidoczne. O ile zaś kapelusz będzie nadcięty, trzeba główkę z krysą zpowrotem zeszyć, a ściegi przykryć opasaniem. Bardzo modne są dziś kapelusze o niesymetrycznych brzegach. Nic łatwiejszego, jak kapelusz w ten sposób zmodernizować. Wystarczy dużemi, ostremi nożyczkami kresę z jednej strony sciąć, nawet łamaną linją, bo to jest teraz również modne. Okrawków wyrzucać nie należy, są one najmodniejszym materjałem do przybrania kapelusza. Pocięte w wąskie paski, służą do opasania, np. dwoma wąziutkiemi, równoległemi paskami. Z większych kawałków można wycinać różne ozdoby i kwiaty. Bardzo efektownie wygląda kapelusz filcowy, przybrany filcem innego koloru, albo kombinowany z dwóch kolorów. Taki kapelusz da się łatwo uzyskać z dwóch starych kapeluszy. Jeden z nich zostawiamy w całości, drugi zaś trzeba odpowiednio pociąć i na tamtym aplikować, jak to widać na rycinie. Nakładamy więc np. część główki inego koloru, albo część główki i całe rondko lub jego część.

Zawsze jeszcze modnym fasonem, a przytem bardzo korzystnym, jest pilotka, często opadająca aż na kark. Taki kapelusik możemy bardzo łatwo zrobić z innego, starego kapelusza. Poprostu obracamy kapelusz z przodu na tył i wycinamy część filcu, która była przedtem na tyle głowy, a teraz ma odsłonić czoło. Jeżeli kresa będzie za nisko na kark opadała, trzeba ją także częściowo ściąć. Po bokach zrobić zakładki, aby kapelusik nie był zbyt szeroki i dobrze do głowy przylegał. Kapelusz ten wygląda bardzo dobrze, jeśli się go przybierze okrawkami z filcu, albo wstążką w tym samym kolorze, przewleczoną przez otwory, nacięte w tylnej części kapelusza.

O RÓŻNYCH RZECZACH

O ŚRODKI ALARMOWE DLA ŁODZI PODWODNYCH.

Służba w łodziach podwodnych należy niewątpliwie do najbardziej niebezpiecznych. Z chwilą jakiegokolwiek defektu w motorze, gdy łódź zmuszona jest opuścić się na dno morskie, niema nadziei ratunku. Załoga łodzi ginie straszną śmiercią — od uduszenia, gdy zapas tlenu zostanie całkowicie wyczerpany. Nic dziwnego, iż inżynierowie i technicy od dawna przemyśliwują nad środkami, któreby pozwoliły łodziom podwodnym, znajdującym się w niebezpieczeństwie, zawiadomić o tem przejeżdżające okręty. Bardzo ciekawym jest projekt amerykańskiego uczonego, Franka Mathersa. Proponuje on mianowicie używanie specjalnego związku chemicznego, który wypuszczony do wody, wypływa na jej powierzchnię, tworząc słup białego, gęstego dymu w dzień, a słup ognia w nocy. Tym sposobem zatopiona łódź podwodna dawałaby sygnały przechodzącym okrętom, i przez wskazanie swego położenia umożliwiałaby przyjście z pomocą. Czy ten środek okaże się naprawdę skutecznym i pozwoli uratować zatopioną załogę — jest rzeczą bardzo wątpliwą. Praca jednak nad wynajdywaniem nowych urządzeń ratunkowych odbywa się bardzo intensywnie. Najlepszy dowód, to liczba 6.800 projektów w tej dziedzinie, które zostały złożone w Ameryce.

NIEBEZPIECZNY KONKURENT KOLEI.

Autobus w wielu krajach staje się groźnym konkurentem kolei, dzięki ciągłym udoskonaleniom i ulepszeniom, jakie w nim zostają przeprowadzone. Niedawno uruchomiono w Anglji i Ameryce specjalne autobusy sypialne, które absolutnie nie ustępują pod względem wygody i komfortu sypialnym wagonom. Są one zbu-

dowane ze stali i posiadają tualetę, umywalnię, kuchnię, dostarczającą gorących potraw i t. d. Autobus taki jest dwupiętrowy i posiada 13-cie przedziałów dwuosobowych. Na noc siedzenia zostają przekształcone na łóżka. Fabrykacja takiego autobusu, który ma 34½ stopy długości, 8 stóp szerokości i przyszło 10 stóp wysokości, wynosi 30.000 dolarów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

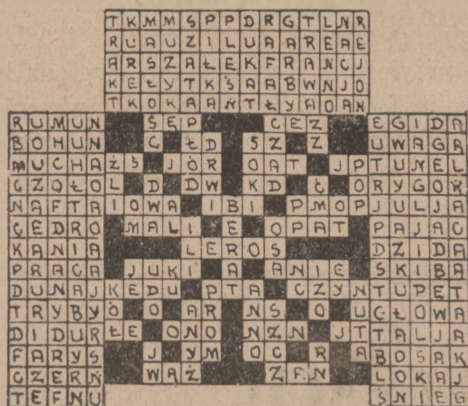
SZARADA.

Uł. Fr. Staszak.

Trzy — szaradziści za hasło postawmy,
Całe — i światu pokażmy,
Że chociaż nas jest skromne grono
(W którem całe znane dawno pono),
Potrafimy wywrzeć wpływ niemały,
Osiągniemy sukces świetny, wspaniały.
Oby czwarte tak stało — poświęćmy trudu niemało.
Pierwsze — drugie ojczyznę i matkę jedyną,
Która przez Boga samego ci daną
I wszystko, co Bóg na tym świecie stworzył.
Całe — szaradziści, jest to konieczne,
Święte nieomal — znane, odwieczne.

Rozwiązanie zadań z Nr 32.

1. KRZYŻÓWKA LOGOGRYF.



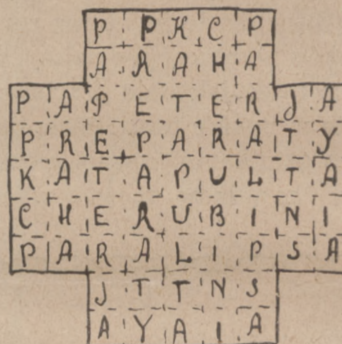
„Ponad człowiekiem stoi ojczyzna, dla której szczęścia trzeba służyć. Ponad ludźmi panuje prawo moralne, ponad wojną stoi pokój".

Ferdynand Foch, marszałek Francji, Anglji i Polski.

2. SZARADA.

Samarytanka.

3. KRZYŻ MAGICZNY.



Trafne rozwiązaniu nadesłali:

Pp.: Sławnicki Michał — Łuniniec, Sławnicki Teofil — Łuniniec, Finkel Leon — Ostróg, Chodorowiczówna Teresa — w/m., Liwska Marja — w/m., Dominikiewicz Halina — Henryków, Staszak Franciszek — Będzin, „Hella" — Będzin, Ławruszonis Stanisława — w/m., Ławruszonis Aleksander — w/m., Tietz Z. — w/m., Kozłowski Cz. — w/m.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.